

Opowieść o czarnej magii

Tego wieczora Wenecję oplotły gęste, przypominające ciasny bandaż, pasma mgły. Pierwsze zniknęły wysokie wieże kościołów. Potem miękka, biała pajęczyna pochłonęła pałace nad Canale Grande. Wkrótce nie było już widać zupełnie nic. Przechodnie pokonywali mosty niepewnie jak ślepcy, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Przycichły wszystkie dźwięki, w tym posapywanie przebijających się przez czarne fale parowych promów.

W taką noc wpadnięcie do wody oznaczałoby niechybną śmierć, wołania o pomoc nie usłyszałyby bowiem nikt.

W ciemnym zaułku, przy Fondamente Nuove, w nikłym kręgu rzucanego przez gazową latarnię światła, stało dziewięcioro członków pewnej rodziny. Wszyscy odświętnie ubrani, prowadzili właśnie ożywioną dyskusję ze starym gondolierem, kołyszącym się nieco niżej w swej łodzi.

– Po prostu musimy dostać się na Murano. Nasza córka ma dziś zostać ochrzczona w San Donato podczas nieszporów – tłumaczył schludny, poważnie wyglądający młody człowiek, tuląc do siebie noworodka w różowym czepku. Z dumą wyciągnął dziecko ku przewoźnikowi. Dziewczynka, jak na urodzoną w Wenecji przystało, radośnie gaworzyła słysząc chlupot fal kanału.

– Nie w taką mgłę.

– Podniesie się, gdy tylko odbijemy od brzegu – wtrącił się nagłaco brat młodzieńca.

Wszyscy oczekujący entuzjastycznie pokiwali głowami.

– Signori, dziś w Wenecji nikt donikąd nie popłynie – odparł gondolier.

– Ale na nas czeka ksiądz... – rzuciła błagalnym tonem siwowłosa kobieta, która musiała być matką młodych mężczyzn.

– Jeśli to prawda, signora, to gotów jestem połknąć swoje wiosło. Ojczulek zapewne zdaje sobie sprawę, że przy takiej pogodzie wypłynąłby tylko głupiec. – Gondolier ruchem ramienia wskazał wszechogarniającą biel.

Wtedy słodkim, cichym głosem odezwała się matka dziecka.

– Ale czy nie nazywasz się przypadkiem Giorgio Molin, signore? Jeśli tak, to moja kuzynka jest żoną brata twojego wuja, nieprawdaż?

Przewoźnik zajrzał pod czepki kobiety.

– Ajajaj! Marta! Najładniejsza dziewczyna w całej Wenecji. To ty postanowiłaś spędzić życie dusząc się w Archiwum – zagadał. – Pomyśleć tylko, taki cud natury pośród nudnych bibliotekarzy! Zapewne dostawali palpacji na sam twój widok!

Gdy gondolier wypowiedział słowo „Archiwum”, przez twarz Marty przemknął cień lęku. Rozejrzała się pospiesznie dokoła.

– Proszę nie wypowiadać tej nazwy na głos. Zwłaszcza dziś.

Skryta we mgle woda niespokojnie zafalowała.

Nagle niemowlę zachichotało i wyciągnęło ku przewoźnikowi maleńkie rączki.

– Patrzcie, ta mała poznaje swoich! – ucieszył się mężczyzna.

– Przepraszam najmocniej, drogi Giorgio, nie wiem, co się stało z moim dobrym wychowaniem – usprawiedliwiła się Marta, po czym przedstawiła swoją matkę, ojca, kuzyna, wuja, szwagra i teściów. – A to – uśmiechnęła się czule, spoglądając na schludnego i poważnego młodzieńca – jest Daniele, mój mąż. Jest jednym z bibliotekarzy, których raczyłeś wspomnieć.

Wymieniono zwyczajowe uprzejmości.

– A więc, czy nadal nie zechcesz nas zabrać, kuzynie Giorgio? – spytała wreszcie Marta Gasperin. – To dla mnie szalenie ważne.

– Cóż, rodzina to jednak rodzina... – westchnął gondolier.
– Rodzina to wszystko, co mamy – przytaknęła Marta Gasperin i pochyliła się, by ucałować starego przewoźnika. Zalał się rumieńcem. – Rodzina i książki, rzecz jasna – dodała z szelmowskim uśmiechem.

– Widzę, że cięty dowcip cię nie opuścił – mruknął Giorgio Molin, pomagając kobiecie wsiąść do gondoli. – Będziesz musiała uważać, żeby twoje dziecko nie wyrosło na mądralę. A u dziewczynki to wcale nie zaleta.

– Dziękuję, dziękuję uprzejmie – szeptali kolejno wujowie, ciotki i kuzyni, wsiadając do łodzi. Dla gondoli takiej jak ta, dziesięć osób stanowiło znaczące obciążenie. Gasperinowie byli jednak z dziada pradziada raczej niscy i wątej budowy. Siadając na ławkach, starannie układali fałdy swoich świątecznych strojów.

Gdy Giorgio Malin odbił od murowanego nabrzeża, mgła wcale się nie uniosła. Przewoźnik stał zwrócony w kierunku Murano i ponuro patrzył przed siebie. W duchu stwierdził, że uprzejmość wymaga, by nie dzielił się złymi przecuciami z krewnymi, którzy zaczęli właśnie wesoło rozprawiać o uroczystej kolacji, którą mieli spożyć po chrzcie.

Wokół nich wirowało skłębione, gęste i białe powietrze. Fale połykały ich słowa i śmiechy. Wszystkie te dźwięki tonęły w morzu i szły aż na samo dno, na którym od sześciuset lat spoczywał pewien spętany łańcuchami szkielet.

Zbielałe ze starości piszczele przeszedł dreszcz. Pustą przestrzeń między żebrami rozjaśnił czerwony blask. Kościane palce zadrgały i szmaragdowy pierścień posłał pomiędzy rozkołysane fale i wodorosty zielony promień światła. Niedługo potem na dnie laguny pojawiła się ciemna, wijąca się macka, dostatecznie długa, by objąć swym uściskiem cały dom.

Wyobraźcie sobie tych spokojnych, dobrotliwych ludzi w gondoli, krzepiących się wesołością pośród mgły, podających sobie maleńką dziewczynkę z jednych kochających rąk do drugich, całujących paluszki jej rąk i nóg, powtarzających jej imię szeptem, niczym modlitwę.

Do końca ich żywotów zostało ledwie kilka sekund.

Zbliżających się mew nikt nie zauważył. Szukając zwady i padliny, nadleciały w ciszy znad wysp na zatoce. W sytuacjach, gdy nie były w stanie znaleźć żadnego martwego stworzenia, którego ciałem mogły się pożywić, nie wahały się zabijać. Wenecjanie znali te ptaszyska jako *magoghe* – zażarte, przerażająco wielkie istoty o szarych grzbietach.

Ptaki musnęły dachy Murano i przeleciały nad cmentarną wyspą San Michele. Kiedy doleciała do nich woń świeżo pochowanych tam ludzi, ich dzioby zagrały złowrogo. Przez chwilę zawisły w powietrzu, raniąc fale swymi cieniami.

I wtedy w ich łbach rozległ się zew.

– Słudzy moi! Dziś w nocy dostaniecie świeże ciała!

Na żółtych dziobach *magoghe* wykwitła piana. Puste, zimne oczy łypnęły ponuro.

– O Panie – odezwały się w myślach ptaki. – Wskaż nam, co robić.

W odpowiedzi, z duszy pogrzebanego pod falami szkieletu, padły rozkazy, które wniknęły w ptasie umysły, sącząc w nie głód i wściekłość. Mewy krążyły nad falami, skrzecząc głośniejsz z każdym oddechem.

Nad zdławioną przez mgłę zatoką agresywne wrzaski ginęły jednak natychmiast. Na Promie Parowym Numer 13 nie usłyszał ich nikt.

Prom odbił od Fondamente Nuove ledwie minutę po gondoli, na której pokładzie płynęła rodzina Gasperin. Nie powinien wyruszać w takiej mgłę, ale kapitan sam pochodził z Murano i spieszno mu było dotrzeć tej nocy do domu. Trasę tę pokonywał przedtem już tysiące razy. Wiedział, że jeśli obierze północno-wschodni kurs przez lagunę i utrzyma stałą

prędkość, za sześć minut przybije do molo wyspy Murano. Był pewien, że na jego drodze nie znajdzie się żaden inny statek, nie przy tak przekłętej pogodzie.

Gdyby w odpowiedniej chwili kapitan uniośł latarnię, mógłby zobaczyć smukłą, czarną gondolę mknącą wśród fal tuż przed jego promem. W tejsze jednak chwili pierwsza z mew wytrąciła mu latarnię z dłoni. Chwilę później do jego kabiny wpadł tuzin innych ptaków. Dziobały go w oczy, szarpały ubranie. Mężczyzna padł na ster i osunął się na podłogę. *Magoghe* przestroniły swą zgrają całe jego ciało. Na szczęście, gdy rozpoczęły swą paskudną ucztę, był już nieprzytomny.

W pasażerskiej kajucie wszyscy poczuli wyraźne szarpnięcie, które nastąpiło, gdy kapitan stracił kontrolę nad sterem. Może do czyichś uszu doleciał też nikły trzask drewna, gdy dziób *vaporetto*, niczym miecz rozrąbał gondolę signora Molina. Krzyki pasażerów promu zagłuszyły wołania członków rodziny Gasperin, wykrzykujących żałośnie swe imiona, gdy przepływał nad nimi prom. Mgnienie potem wielka zielona macka oplotła rozplątany dziób gondoli i wciągnęła ją głęboko pod wodę.

Marta utonęła na samym końcu. Ostatnimi jej słowami, które uniosły się ponad obojętnymi falami były: „Ratujcie moje dziecko! Błagam, ratujcie moją dziewczynkę...”.

W tej samej chwili po zatoce poniósł się bezcielesny śmiech, dźwięk jeszcze bardziej gorzki i odpychający niż wrzaski *magoghe*. Rechet wzbił się nad mgłą i zabrzmiał echem na weneckim brzegu, niczym warkot nadciągającej burzy.

Płynący na oślep prom przeorał molo w porcie Murano, zamieniając jego potężne bale w drobne drzazgi. Uciekający na brzeg pasażerowie odkryli niebawem ciało martwego kapitana. Przez kilka następnych godzin wszyscy zajęci byli rozgłaszaniem wieści o jego niesłychanej śmierci i błogosławieństwie udzielonym im samym przez gwiazdy – poza kapitanem nie zginął nikt, a katastrofa mogła przecież pochłonąć o wiele więcej ofiar.

Na gondolę nikt na Murano nie czekał. Giorgio Molin miał rację co do jednego: książd już dawno uznał, że z dzisiejszego chrztu i wystawnej kolacji, na którą miał uprzednio wielką chrapkę, nic nie będzie. Założył, że mgła zmieniła plany wszystkich. Także żona gondoliera ani przez chwilę nie zaniepokoiła się nieobecnością małżonka, który często sypiał na łodzi, zwłaszcza w takie gorące, czerwcowe noce.

Dopiero, kiedy mgła się ostatecznie podniosła – cały dzień później – zaczęto pytać o rodzinę Gasperin. Niemal w tej samej chwili, morze wyrzuciło na brzeg Murano pierwsze z ciał. Był to Daniele, wciąż ściskający w dłoni czepek swej ukochanej Marty. Ją samą znaleziono kilka godzin potem, wypłynęła z rozdętymi spódnicami, niczym piękna meduza, w zatoce Torcello. W pobliżu, twarzą do dołu, unosił się na falach jej teść.

Wreszcie odnaleziono wszystkich topielców, z wyjątkiem niemowlęcia.

Natychmiast pojawiły się plotki, szeptane przypuszczenia.

– Taka z niej była kruszynka. Na pewno zjadły ją ryby.

1. Zaskakujące popołudnie

1 czerwca, 1899

Cios nadszedł znikąd i zupełnie bez uprzedzenia. Za ledwie sekundę wcześniej Teodora radośnie myszkowała po staromodnej, weneckiej księgarni – tonącym w półmroku, sypiącym się pomieszczeniu, którego drzwi otwierały się na plac nad kanałem. Trzeba powiedzieć, że nie był to zwyczajny sklep z książkami. Po pierwsze, wnętrze oświetlone było jedynie blaskiem szepczących cicho lamp gazowych i żółtawych ogarków świec. Na zakurzonej ladzie, miast kasy, stał wielki, mosiężny moździerz. Nie widać też było stert dzieł słynnych poetów czy opowieści detektywistycznych lub opastych romansów dla dam. Prawdę

mówiąc, wszystkie rozmaite i interesujące prace występowały w owym kantorku tylko w jednym egzemplarzu. „Syreny, które poznałem” pióra profesora Marina, a także „Najlepsze sposoby na zbłąkane duchy” spisane przez anonimowego autora podpisującego się jako „ten, który się z nimi zadawał”.

W księgarni nie było też żadnych klientów poza jednym jasnowłosym chłopcem mniej więcej w wieku Teo. Nieznajomy odziany był elegancko: w lnianą kamizelkę, buty, na których nie można było dostrzec najmniejszej choćby plamy i zawadiacko przekrzywioną czapkę. Stał przy pulpicie i czytał „Powstanie i upadek imperium Wenecji” – księgę wielką jak szafa i zupełnie pozbawioną obrazków. Co jakiś czas podnosił wzrok, by obrzucić Teo arystokratycznym, ganiącym spojrzeniem.

Patrzył na nią w ten sposób, ponieważ dziewczyna nie ograniczała się do oglądania wysokich półek, lecz także je wahała. Przypominały jej rafy koralowe, majaczące wysoko ponad jej głową, usiane głębokimi, tajemniczymi jamami i wykrotami. Sięgały malowanej powały, górowały nad nią tak bardzo, że dziewczynka (uwielbiająca wyobrażać sobie różne rzeczy) niemal widziała spływające z ich szczytów wstęgi wodorostów. Na poziomie jej oczu jednak – a jak na jedenastolatkę Teo była zawstydzająco niska – gdzieś pomiędzy książkami pachniało rybą i woń ta przebijała się nawet przez słodkawe aromaty pleśni i kosmyki kurzu.

W tym miejscu należy uczciwie przyznać, że Teo czuła ryby przez cały czas od chwili, gdy trzy dni temu przybyła do Wenecji. Nie jadała ich, ponieważ zabijanie żywych stworzeń uważała za okrucieństwo (Teo była wegetarianką), lecz rybi zapach w księgarni był tak pyszny, tak świeży i orzeźwiający – zupełnie jak wonne sole – że nagle pomyślała sobie: „Tak właśnie pachniałyby perły, gdyby tylko miały zapach!”

Jasnowłosy chłopiec chrząknął i wbił wzrok w swoją książkę. Wydawał się mówić tym gestem: „My w Wenecji książki czytamy, nie uważamy za stosowne zajmować się ich wachaniem”.

Teo przyjechała z Neapolu, miasta leżącego setki mili na południe. Jej rodzice – to znaczy ludzie, którzy ją adoptowali i wychowywali – przywieźli ją do Wenecji po raz pierwszy i to z wielką niechęcią. O tym, że została przysposobiona, powiedzieli jej, gdy tylko dorosła na tyle, by mogła to zrozumieć. Nigdy jednak nie знаła żadnej innej rodziny poza nimi, ani innego miasta poza Neapolem i była z tego wielce zadowolona. Przynajmniej do chwili, gdy skończyła szósty rok życia. Właśnie wtedy bowiem natknęła się w bibliotece na książkę zatytułowaną „Moja Wenecja”. Przerzucając stronicę ilustrowane wizerunkami orientalnie wyglądających, unoszących się na szmaragdowozielonej wodzie pałaców, Teo poczuła nagle coś przypominającego ukłucie głodu.

Dotarcie do Wenecji zajęło jej pięć lat zreżymowanego i pełnego determinacji wierzenia rodzicom dziury w brzuchu, wspomaganego rozstawianymi na pianinie pocztówkami z Wenecji, pierścieniem z weneckiego szkła, który sprezentowała mamie na urodziny i innymi podpowiedziami, którym daleko było do subtelności. Jej opiekunowie, zwykle chętni i skorzy do rozpieszczania dziewczynki, od samego początku wydawali się dziwnie niechętni pomysłowi przyjechania tu z Teo. Wymyślali w tym celu jedną po drugiej nieprzekonującą wymówkę.

Zdarzały się chwile, kiedy Teo zastanawiała się nad zrobieniem czegoś strasznego, na przykład nad ucieczką z domu i dotarciem do Wenecji na własną rękę. To mogłoby się nawet udać, gdyby tylko miała przyjaciela, który chciałby wspólnie z nią odbyć taką wyprawę. Problem jednak w tym, że mole książkowe w typie Teodory, rzadko mogą się poszczycić kręgiem przyjaciół o duszach chętnych do awanturnych podróży i właśnie dlatego większość swoich przygód przeżywają jedynie w wyobraźni.

Wreszcie sprawie pomogło Przeznaczenie (tak przynajmniej szeptała do siebie Teo w chwilach, gdy była pewna, że rodzice jej nie słyszą. Oboje byli naukowcami i szczylicili się

swą nowoczesnością i racjonalnością. Innymi słowy – raczej nie wierzyli w Przeznaczenie.) Na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy Wenecję zalała fala dziwnych i złowieszczych wydarzeń. Z tego właśnie powodu wenecki bilet Teo przybył pod postacią zaproszenia na nadzwyczajny zjazd „największych naukowców świata”, wezwanych w celu ocalenia zagrożonego miasta. Wszystkie potrzebne dokumenty zatrzepotały pewnego dnia w skrzynce pocztowej jej rodziców.

I pomyśleć, że mimo wszystko chcieli zostawić Teo w domu! Z początku twierdzili, że nie powinna opuścić ani jednego dnia szkoły. Lato zbliżało się co prawda wielkimi krokami, ale do wakacji zostało jeszcze nieco czasu, a na horyzoncie majaczyły już egzaminy. Na szczęście dziewczynkę wybawił jej nauczyciel, mówiąc przy wszystkich: „Teodora zostanie zwolniona z egzaminów. Zamiast tego napisze mi piękne wypracowanie na temat Wenecji”. Pupilków nauczycieli nie lubi nikt: naturalnie więc inni uczniowie zaczęli patrzeć na nią krzywym okiem. Teo była przerażona.

Następnie rodzice uznali, że sytuacja w Wenecji jest w tej chwili zbyt niebezpieczna. Jakby myśleli, że ten argument może ją przed czymkolwiek powstrzymać!

– Przecież nikt jeszcze nie zginął – powiedziała.

Musieli przyznać jej rację.

Wreszcie więc znalazła się tutaj. Prawdziwa Wenecja, pomimo – a może właśnie z powodu swego tragicznego położenia – wydawała cię co najmniej dwa razy wspanialsza od tego, co sobie Teo wyobrażała.

Stara wenecka księgarnia urzekła ją nie mniej niż bogate pałace i kamienice, które oglądała z rodzicami przez cały dzień. Podobały się jej wyryte nad drzwiami kamienne syrenki i igrające na ścianach świetlne refleksy odbite od fal kanału. Polubiła też starego, pachnącego talkiem i woskiem księgarza z jego pomarszczoną twarzą, aksamitnymi spodniami i kamizelą. Przyglądał się jej chwilami z dziwaczną miną, zupełnie jakby ją poznawał, a tylko nie był pewien, skąd dziewczynkę pamięta. Nigdy nie zabronił jej niczego dotykać. A „Gładkiego jak węgorz i dwakroć bardziej śliskiego” pióra Arnona Rodenta polecił nawet trzymać mocniej niż inne książki.

– Ten tom ma tendencję do wymykania się ludziom z rąk – wyjaśnił uprzejmie.

Przyjrzała mu się uważnie, a raczej spojrzała uważnie tuż ponad jego głowę.

Albowiem Teo była dzieckiem obdarzonym bardzo szczególnym talentem. Kiedy ludzie mówili, widziała słowa pojawiające się w powietrzu nad ich głowami. Co więcej, owe zdania pojawiały się różnymi krojami pisma: jedni odzywali się zwięzłą, sprawną czcionką maszyny do pisania, słowa innych przybierały formę wyrafinowanej kaligrafii, część ludzi mówiła zamasyście, z wieloma zawijasami. Mowa starego księgarza wyglądała jak rozwijający się zwój pergaminu. Każde jego słowo było pięknie staromodne i czytelne.

Teo nie miała tak naprawdę pojęcia, czego szuka na tych półkach, ale naszło ją bardzo silne przeczucie, że znajduje się na nich coś szalenie wspaniałego, co wystarczy tylko odnaleźć.

– Teodoro, kochanie, naprawdę musimy już iść! – zawołał z zewnątrz jej ojciec. Tomasso i Aurelia Naccaro, przyjaciele i koledzy naukowcy z Neapolu, czekali na nich w hotelu z córką Marią. Na wspomnienie Marii buzia Teo ściągnęła się w raczej mało przystojny ciup.

Rodzice Teo mieli już dosyć starzejącego się w oczach, zakurzonego kantorka z książkami. Jako naukowcy, cenili sobie rzeczy nowe i lśniące, podobne laboratorium, w którym pracowali i takie jak ich dom w Neapolu, będący arcydziełem i ucieleśnieniem nowoczesności.

– Jeszcze chwileczkę – odkrzyknęła Teo. – Jedną, jedyną minutkę, proszę...

I właśnie wtedy się to stało.

Teo stanęła na palcach, by sięgnąć po „Stwory z laguny – przyjaciele czy wrogowie?”, kolejną pozycję autorstwa niezwykle płodnego profesora Marina. Poczowała gwałtowny podmuch powietrza, mocne uderzenie w głowę, ostry ból i ciepło spływającej po twarzy krwi. Potem nie czuła już nic.